NASZ PRZYJACIEL

Dodatek tygodniowy do „Głosu Wąbrzeskiego“ poświęcony sprawom oświatowym, kulturalnym i literackim.

Nr. 27 | Wabrzeźno, dnia 30 czerwca 1928 r. | Rok 5

Ewangelja

św. Mateusza rozdz. 5. wiersz 20—24.

Onego czasu rzekł Jezus do Swych uczniów Jeśli nie będzie obfitowała sprawiedliwość wasza więcej niż doktorów zakonnych i Faryzeuszów, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego. Słyszeliście, iż rzeczono jest starym: nie będziesz zabijał, a ktoby zabił będzie winien sądu. A Ja wam powiadam. iż każdy który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A ktoby rzekł bratu swemu „Raka“, będzie winien rady. A ktoby rzekł, głupcze będzie winien ognia piekielnego. Jeśli tedy ofiarujesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, że brat twój ma nieco przeciw tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a idź pierwej zjednać się z bratem twoim; a tedy przyszedłszy, ofiarujesz dar twój.

Nauka z ewangelji.

Jaką była sprawiedliwość Faryzeuszów?

Polegała ona na tem, że 1. baczyli tylko na literę prawa, ale o ducha tegoż prawa wcale się nie troszczyli. Tym sposobem starali się uniknąć pozoru grzechu, ale w sercu byli grzesznikami i pełnymi nieprawości. 2 Zakon tłumaczyli sobie dowolnie, drobnostkowo i ostawali upornie przy swym sposobie zapatrywania się na niego. 3. Dobrze czynili jedynie w tym celu, aby ludzie ich widzieli i oddawali im cześć i pochwałę. Ponieważ taka sprawiedliwość jest występną, słusznie przeto Pan mówi, że nikogo nie wiedzie do nieba.

Na czem polega sprawiedliwość chrześcijańska?

Polega ona na tem: 1. aby chrześcijanin pełnił wszystkie przykazania Boskie i kościelne; i aby grzech unikał nie tylko w uczynkach, ale i w myślach i pożądliwościach. Bóg na to nie patrzy, czy jesteśmy sprawiedliwi i nieskazitelni tylko w oczach ludzkich: powinniśmy być uczciwymi w duszy i w sercu. 2. Chrześcijanin dla dobrych uczynków, do których nie jest ściśle zobowiązany, nie powinien zaniedbywać tego, co mu nakazuje Pan Bóg, Kościół, stan i powołanie. 3. Czyniąc dobrze, powinien chrześcijanin jedynie szukać chwały Bożej, przypodobania się Bogu, mieć na oku własne i bliźniego zbawienie, a nie starać się o chwałę ludzką.

Jak trzeba rozumieć to, co Pan Jezus mówi o gniewie i zelżywościach?

Pan Jezus mówi, że można ciężko zgrzeszyć przeciw piątemu przykazaniu nie tylko zabójstwem, ale i w inny sposób. Powiada: 1. że niehamowanie się w gniewie, nienawiści i zemście już jest ciężkim grzechem. 2. Oświadcza, że można ciężko grzeszyć słowami, które wówimy czy to w uniesieniu gniewu czy z nienawiści lub zemsty przeciw bliźniemu, i że ten grzech jest o wiele cięższy od utajonej zawziętości. 3. Pan Jezus przytacza dwa przykłady takich obelg słownych, któremi można ciężko zawinić przeciw piątemu przykazaniu. Grzech nie polega tyle na słowie, którem pragniemy wyrządzić obelgę bliźniemu, ile na nienawiści, zmierzającej do zaszkodzenia mu na sławie i zdaniu ludzkim. Wyraz „Raka“ oznacza człowieka bez wartości, niegodziwca, który nie jest godzien, aby ktoś z nim przestawał.— Wyraz „głupiec oznacza w Piśmie św. człowieka, który nie wierzy w Boga i odstrychnął się od Niego, i jest jakby przeklętym, potępieńcem i szatanowi podobnym. 4. Pan Jezus oświadcza wreszcie, że nienawistne usposobienie względem bliźniego jest tak wielkim grzechem, że wyrzeczenie się tej zawziętości i nienawiści jest obowiązkiem o wiele ważniejszym od innych, n. p. od złożenia ślubowanej Bogu ofiary. Bóg bowiem odrzuca wszystkie ofiary, jeżeli ofiarujący nie wyrzecze się poprzednio zawziętości. Nikt też nie przyjmie godnie świętego Sakramentu Ciała Pańskiego, jeśli poprzednio nie wyrzuci z serca gniewu i zawziętości przeciw bliźniemu.

Jak trzeba się pogodzić z bliźnim?

1. Jak najprędzej, gdyż Apostół mówi, „Słońce niechaj nie zapada na rozgniewanie wasze“ (Efez. 4a 26). 2. Wybaczenie winy winno być szczere, nie pozorne tylko, bo Bóg patrzy na twe serce. 3. Niech będzie i trwałe, bo jeżeli niem nie jest, powątpiewać można o jego szczerości.

Czy każdy gniew jest grzesznym?

Grzesznym jest tylko gniew taki, gdy bliźniemu życzymy szkody na ciele, czci i majątku, albo gdy miotamy na niego takie obelgi, które ubliżają jego sławie i sprawiają mu zmartwienie i smutek. — Nie grzeszy zaś ten, kto czuje oburzenie z powodu cudzych grzechów występków, wykroczeń przeciw moralności, jeśli urząd, który piastuje, i stanowisko jakie zajmuje, nadaje mu prawo czuwania nad podwładnymi karania ich uchybień, zwracania ich na drogę poprawy (jak n. p. jest to powinnością wszystkich rodziców, wychowawców, przełożonych). Taki gniew nie jest grzechem. Jeżeli ktoś z miłości ku Bogu unosi się i gromi grzechy i występki bliźnich jak Dawid król, jeśli ktoś, kuszony do złego, uwodzicieli ze zgrozą odpycha, gniew taki nie jest grzesznym lecz świętym. Kogo przeto gniewa widoczna niesprawiedliwość, ten nie grzeszy, lecz postępuje chwalebnie i godziwie. Jeśli przeto gniew nie ma być grzesznym winien być skutkiem gorliwości o chwałę Bożą i zbawienie dusz jako też zmierzać do poprawy bliźniego i wstrzymywania go od błędu i uchybień przeciw moralności, Ale i tu trzeba być ostrożnym i zachować miarę, nie dać się owładnąć gniewowi aż o utraty równowagi umysłu, lecz mieć jedynie a celu powstrzymanie złego i zgorszenia.

Jakich środków chwycić się należy w celu pohamowania skłonności do gniewu?

1. Pierwszym i najskuteczniejszym środkiem przeciw popędliwości jest pokora. 2. Kto chce nauczyć się cierpliwości, pokory i łagodności, niechaj się zapatruję na Chrystusa, który lubo był bez grzechu i nigdy Swych ust fałszem nie pokalał, tylokrotnie był wystawiony na opór grzeszników, tyle znosił zniewag, obelg i prześladowań. a nigdy złem złego nie odpłacał i nikomu się zemstą nie odgrażał. 3. Skutecznie zapobiegać będziemy wybuchom gniewu i oburzenia, gdy zawczasu przysposobimy się na to, coby nas w tym dniu mogło przyprawić o gniew i zniecierpliwienie, i przytem silnie postanowimy uzbroić się w cierpliwość i znosić z zimną krwią, cokolwiek niemiłego nas spotka. 4. Kto skłonny do gniewu, powinien w gorącej modlitwie błagać Boga o dar łagodności i cierpliwości. 5. Zbawiennie jest modlić się za tego, co nam ubliżył, gdyż modlitwa jest szczególnem ochłodzeniem zapalczywości, okazując bliźniemu szczerą życzliwość i życząc mu dobrze, będziemy naśladowcami Chrystusa, i okażemy się godnymi łaski, że Bóg pozwoli nam się z czasem pozbyć krewkości i popędliwości.



Ilustracja nasza przedstawia siedzibę Oakhurst Court w South Godstowie, gdzie książę rumuński Karol zamieszkał u swego przyjaciela. (Jak wiadomo, rząd angielski wezwał swego gen. księcia Karola do opuszczenia Anglji).

Modlitwa.

Bądź mi, Panie, pochwalony,
Ty szczęście wieczyste —
Coś świat przytulił do Siebie
CHRYSTE!..

Niech mi ten wzlot jak nimb wcielony
Drogi Świetliste
Kreśli po ziemi i niebie
CHRYSTE!..

Ty, któryś krwią i Swemi łzami
Porwał za Sobą biljony
CHRYSTE!..

Coś duszą Swą lud karmił w potrzebie
Jak Bóg, dobry nad lwami —
Daj, niech mi sny czyste
Tęskniące do czynu — do Ciebie
Leciały, jak świt zrodzony
Przed chwilą, w zorze promieniste; — —
Bym proszkiem w letnim południa
Wibrował skwarze — bez grudnia....
BYM SOBĄ BYŁ — o to Cię proszę
CHRYSTE!...

Zdzisław Białecki.



Strażnik latarni morskiej i jego goście.

Spokojnie żyli sobie państwo Le Temple na małej wysepce Greenly Island, gdy nagle spadli do nich jakby z nieba lotnicy niemieccy. Zajęli się małżonkowie lotnikami i ugościli ich wedle możności. Na obrazku naszym widzimy z lewej strony kapitana Köhla, dalej panią Le Temple, barona Hönefelda i strażnika latarni morskiej Jana Le Temple.

Kapitan Köhl i baron Hönefeld lotnicy, którzy lecieli z Europy do Ameryki, jednakże zmuszeni byli lądować na wyspie Greenly Island. (Lotnicy przybyli już z powrotem z Ameryki do Europy — serdecznie witani.

Zdzisław Białecki

ONI

— Tak, proszę ciebie, i ty proszę ciebie, możesz przestać pić, proszę ciebie, wszyscy wymrą proszę ciebie, ty będziesz proszę ciebie świadkiem proszę ciebie prawdziwości hipotezy Darwina, — zawołał wreszcie wysoki, w rogowej oprawie szkieł Feliks, naśladujący głos i wymowę Józefa.

— Ha, ha — zaśmiali się Mundek i Marych.

— Możecie, proszę was, żartować. Ja niegdyś, o i to jeszcze przed pół rokiem, drwiłem sobie tak, jak i wy z idei abstynenckiej.

— To będziesz — idei tej nauczał jako „modern“ Kmicic, tłumy ciemnych Rusinów, — o — rzekł szyderczo Feliks.

— Nie. Tej walki się nie podejmuje podejmuje proszę ciebie, bo to walka na życie lub śmierć. Za mało w sobie czuje siły do walki takiej, a zresztą Rusini, proszę ciebie, to nie Polacy.

— No tak, no tak — potwierdzał Marych.

Zdawało się, że smutek do nich nie miałby w tej chwili dostępu, ale było to złudzenie. Józef czując Witka cierpienia, spochmurniał i już nie marzył być Sienkiewiczowskim rycerzykiem, ale chciał za wszelką cenę zmienić nastrój w Witku. Wydawała się jednak ta walka równą o trzeźwość narodu.

A Witek ciekawy był tego co Feliks marzy o swojej przyszłości. Jak on znów będzie daleki od jego celów, to chyba wtedy Witek padnie — jak gromem podcięty...

— Feliks, powiedz co ty myślisz o przyszłości? — zapytał stroskany i czekał z biciem serca obuchów słów jego.

— Człowiek, — zaczął powoli Feliks, — wyrósł na cywilizacji i kulturze wschodu. A więc pobudzony fantazją, pędzę na koniu arabskim na pustynie... Och, tam żyć i umierać umierać za sto, dwieście lat. Będę grzebać,, grzebać pazurem swoim w piaskach pustyni i może znajdę złoto, albo platynę — albo wykopię jaki nowy, nieznany, bogatszy od platyny metal, — albo przetopię pustynny piasek i może z tego co będzie, a potem: — husia, siusia na wronym koniu araba śpiewać będę: Felixelis Felixelis porta.

— A ty? — spytał Mundek Witka, patrząc mu prosto w oczy figlarnie i zarazem szyderczo.

— Ja?... rzekł z bólem strasznym zapytany, posuwając powoli głowę kurczem cierpienia ściągniętą, ku zachodowi. W oczach jego coś błysnęło i szybko potoczyło po licach do stóp, a na twarzy pozostał jeno ślad długi, bezbarwny...

— Czemu... czemu wy tacy inni?.. — zapytał po chwili Witek, cichym, ledwie dosłyszalnym głosem. Blady był cały i strach mieli na niego patrzeć, pomieszani.

— To owoc twoich przeczulonych nerwów, — odważył się pierwszy Feliks. — Wyjechać powinieneś nad morze, lub w góry na dłuższy wypoczynek.

— No tak, proszę ciebie, naturalnie. Chleba suchego nie będzie jadał i wody z kranu nie będzie popijał, tylko składał będzie na dłuższy wypoczynek nad morze lub w góry, — sarkazmem oburknął Józef.

— No tak, no tak, — zatwierdzał bezmyślnie Marych. — A jeszcze to bezrobocie — dodała. Powinieneś szukać, — — no tak, powinieneś szukać.

— Czego? — podrażniony pytał Mundek. — On nie powinien się przejmować takiemi rzeczami. To jest absurd, bagatela, nic.

— I „nic“ ma pewne znaczenie, — odrzekł flegmatycznie Józef, — takie same jak zero w matematyce.

— Ech tam, — wyrwał się nerwowo Mundek. — Nie ma o czem gadać, a codopiero mówić. I on się zmieni. Nasz marzyciel się przemieni. Duch czasu tak chce, więc musi być i bezsilne są wzloty marzycieli takich jakim jesteś ty, Witek.

Witkowi zaszły oczy siatką szklistą — cierpiał... Chciał ich wszystkich nienawidzieć, ale nie mógł... Tacy inny, tacy inni od niego....

Piątka tych, którzy razem, niemal jak bracia sjamscy, wyrośli z kolebki, a takich od siebie odrębnych, udała się wolnym krokiem przez Józefowo do domu.

Popsuł im humor ten manjak Witek. Grymasami stroili miny swoje, a tylko Józef udawał, że nie cierpi. Witek szedł bez myśli i bez woli.

KONIEC.

Skarb Watażki

31) POWIEŚĆ.

Na dnie jaru leżały jakieś zwłoki, na których znać było jeszcze resztki chłopskiej płótnianki. Czaszka bielała na szarem tle skały; włosy tylko z osełedcem pozostały jeszcze na niej, ciało snadź kruki i zwierzęta dzikie obgryzły zupełnie. Koło trupa leżał krótki sztuciec kozacki.

Fogelwander przypomniał sobie opowiadanie Trokima i szepnął do siebie:

— To Puk watażka, strącony w przepaść.

Bimbasza tymczasem biegł dalej i coraz bardziej spieszyć się zdawał, mimo licznych ran i ciężko skaleczonej nogi. Fogelwander i Porwisz szli za psem i chłopem drogą dziką i niebezpieczną. Mijali wyłomy, przewijali się wśród urwisk, pięli się po stromych skałach, przedzierali się przez chaszcze gęste, spuszczali w głębokie doły i jary.

Bimbasza nie zatrzymał się nigdzie.

Oficer począł już żałować swej ciekawości, która go zawiodła w ten prawdziwy labirynt skał i przepaści. Ale wracać już nie chciał po tak uciążliwym kilka godzinnym pochodzie.

— Porwisz — zapytał Fogelwander — czy trafisz napowrót?

— Mości rotmistrzu — odparł wachmistrz — bez znaku nie trafiłbym żadną miarą, choć kulą w łeb... ale pokornie raportując, ot tam z dala widać czubek kamienieckiej baszty, a ja po drodze gdzie mogłem, szablą nacinałem krzewy i tą marszrutą wrócimy, byle nas noc nie zaskoczyła, bo wtedy chyba giń w tych debrach.

— Pójdziemy więc dalej — rzekł Fogelwander — jeszcze nie ma półdnia, do nocy daleko jeszcze.

Szli tak może pół godziny jeszcze. Nagle pies począł się spuszczać po nadzwyczaj stromej skale. Chłop, a za nim Fogelwander i Porwisz z największą tylko trudnością zdołali zejść za Bimbaszą. Znaleźli się w małym jarze, otoczonym dokoła wysokiemi skałami. U podnóża jednej z tych olbrzymich ścian skalistych rosły gęste, karłowate krzewy. Bimbasza wpadł między gęstwinę i zginął tam z oczu. Fogelwander przyspieszył kroku.

Poza krzewami znajdowała się pieczara w skale. Był to rodzaj naturalnej groty, jaskini osłoniętej zewsząd bujnemi chaszczami, złożonej z samych urwistych, olbrzymich odłamów kamienia. W tej jaskini zniknął Bimbasza...

Fogelwander chciał pójść za nim do środka, lecz potknął się, a spojrzawszy przed siebie, cofnął się z pewnem przerażeniem.

Było to pobojowisko, na którem, według wszelkich przypuszczeń, Trokim przy pomocy Bimbaszy pokonał trzech wrogów. Człowiek, którego trup leżał u samego wejścia pieczary, wchodził widocznie do niej pierwszy lecz nim sam strzelić zdołał, padł od celnej kuli hajdamaka. Bimbasza snać walczył z drugim napastnikiem o czarnej brodzie. Szachin zaś sam wejść musiał w śmiertelne zapasy z watażką. Ciało jego gęsto pokłute było nożem, kilkadziesiąt pchnięć głębokich znajdowało się na nim.

Południe dawno już minęło, czas był pomyśleć o odwrocie. Porwisz wydobył pistolet i kazał iść przed sobą chłopu. Nie potrzeba było orjentować się długo, bo stróż janczyniecki z bystrością prawdziwego syna natury wskazywał drogę z jarów na pole. Późnym dopiero wieczorem powrócili Fogelwander i Porwisz razem z uwięzionym przewodnikiem do Kamieńca.

XIV.

Rozdział ostatni.

W kilka miesięcy po opisanych zajściach odbył się w Lwowie, w kościele katedralnym przepyszny akt ślubny, w którym wszystkie znakomitości miasta i nadzwyczaj liczna publiczność pospieszyła wziąść udział. Przed kościołem stała w ordynku paradnym chorągiew dragonji koronnej, a gdy nowożeńcy opuścili kościół, powitała ich huczną salwą.

Pan młody ubrany był w mundur gwardji koronnej, a urodą swoją męską i dzielnością postawy podwójnie zwracał na siebie uwagę wszystkich obecnych. Mówiono, że godny był swej ulubienicy, którą z wyrazem szczęścia na całem obliczu wiódł do ołtarza, a która urokiem niepospolitej piękności wywoływała głosy szczerego podziwu.

Nie potrzebujemy prawie dodawać, że śliczną tę i dobraną parę stanowili hrabia Fogelwander i Erinna.

W tłumie gości weselnych było dużo bogatych strojów i świetnych mundurów, ale po nad wszystkie górował przepychem i blaskiem klejnotów wschodni ubiór starca, ojca panny młodej, o którego bajecznym majątku obiegały po całym Lwowie najdziwniejsze wieści. Mimo wielkiej przesady, pogłoski te miały przecież rzeczywistą postawę. Maurodukas bowiem był istotnie właścicielem olbrzymiej, jak na owe czasy fortuny, należał do najsłynniejszych kupców całego Wschodu, a imię jego we wszystkich stolicach europejskich liczyło się do pierwszorzędnej handlowej arystokracji.

Jakby nie dość było staremu Fanarjocie dać córce swej posag ogromny, usiłował jej dać jeszcze blask tytułu i wysokiego urodzenia. Przywiózł z sobą całą cyprysową skrzynię najrozmaitszych pergaminów, które miały dowodzić, a nawet dowodziły istotnie, że Maurodukas pochodzi od książąt greckich, blisko niegdyś spowinowaconych z tronem, że nawet i po zdobyciu Konstantynopola przez Turków i rozproszeniu się najznakomitszych rodzin po innych krajach, ród jego dostępował zaszczytów i że zdobiła go niejednokrotnie mitra książęca multańska. Hospodar wołoski, Konstantyn III miał być członkiem tej rodziny.

Fogelwander miał na sobie szarfę oficerską poraz ostatni na ślubie. Wystąpił z wojska i wyjechał z Polski. Wychowany od najpierwszych lat dziecięcych we Francji, tęsknił do niej ustawicznie. Będąc panem świetnej fortuny osiadł stale w Paryżu.

(Dokończenie nastąpi).